

**D**awniej granice były pilnie strzeżone, teraz są szeroko otwarte. Kiedyś artyści zarabiali, przede wszystkim sprzedając płyty (niektórzy nawet rezygnowali z występów). Teraz, kiedy niejeden użytkownik Internetu ściąga muzykę za darmo, zarabiają głównie na sprzedaży biletów na koncerty.

Starsi melomani zapewne pamiętają widowisko „The Wall” w Berlinie, z udziałem

Największe gwiazdy w Polsce! Jeszcze niedawno takie stwierdzenie mogłoby uchodzić za dobry żart. Teraz jest inaczej. Zmieniły się zarówno czasy, jak i źródła dochodów artystów.

Grzegorz Walenda

łem nie tylko autora i pomysłodawcy, Rogera Watersa, ale też całej plejady równie znanych wykonawców. 23 lata temu mogliśmy oglądać telewizyjną transmisję i zazdrościć berlińczykom, że widzieli na żywo Van Morrisona, Bryana Adamsa, Paula Carracka, Sinéad O'Connor czy Scorpions. Teraz prawie wszyscy koncertują też w Polsce. Waters z „The Wall” w sierpniu wystąpił u nas już po raz trzeci (poprzednio 18 i 19 kwietnia 2011 w Łodzi). Na Stadionie Narodowym przedstawił najbardziej spektakularną odsłonę legendarnego widowiska.

### Clapton

Tegoroczny pochód muzycznej czołówki przez polskie sceny rozpoczął Eric Clapton, który 7 czerwca odwiedził łódzką Atlas Arenę. Legenda rockowej gitary pokazała się z najlepszej strony. Clapton wyszedł na scenę, jakby przyjmował widzów u siebie w domu – w polo i džinsach. Grał jednak po mistrzowsku, finezyjnie

i z klasą. Zaśpiewał większość swoich hitów, w tym „Badge”, „Layla”, a na bis „Sunshine of Your Love”. Ten ostatni utwór pochodzi z czasów, kiedy współtworzył supertrio Cream. Zabrakło jedynie wielkiego przeboju z lat 70. XX wieku, czyli „I Shot the Sheriff” Boba Marleya oraz „Tears in Heaven”.

Artyście towarzyszył świetnie grający zespół, z klawiszowcem i wokalistą Paullem Carrackiem. Tak, tym z grupy Mike and the Mechanics, założonej przez gitarzystę Genesis, Mike’a Rutherforda. Słowem: elita rocka w pełnej krasie!

### Toto

Kilka dni po Claptonie na tej samej scenie wystąpiła grupa Toto, grająca – po kilku zmianach – w składzie: Steve Lukather



# Muzyczny tort z wisienką



David Paich



Nathan East



Simon Phillips



Joseph Williams



Steve Lukather



Steve Porcaro



(gitara i wokale), David Paich (klawiszowe i wokale), Joseph Williams (główny wokalista), Simon Phillips (perkusja), Nathan East (bas) i Steve Porcaro (klawiszowe).

Przed koncertem odbyła się konferencja prasowa z udziałem wszystkich członków amerykańskiego zespołu, który właśnie obchodzi 35-lecie działalności. W czasie łódzkiego występu zarejestrowano materiał filmowy na jubileuszowe DVD. Muzycy wyglądali na podekscytowanych trasą. Opowiadali o swoich płytach, ale nie tylko. Trzeba bowiem wiedzieć, że wirtuozi tworzący Toto są chętnie zapraszani na sesje innych gwiazd. Grali nawet z Michałem Jacksonem na „Thrillerze”. Tam poznali Paula McCartneya, który z Jacksonem śpiewał „The Girl Is Mine”.

Najpopularniejszym albumem w dorobku Toto jest słynna „Czwórka”, z hitami „Rosanna” i „Africa”. Album „Toto IV” (1982) nie tylko rozślał grupę na całym świecie, ale został uhonorowany kilkoma nagrodami Grammy. Wspomnianych dwóch utworów nie mogło zabraknąć, kiedy muzycy wreszcie pojawili się na scenie. Było nie tylko głośno i dynamicznie, ale również perfekcyjnie. Kiedy już wydawało się, że występ dobiegł końca, zachęcenie gromkimi brawami członkowie zespołu powrócili na trzy bisy. Zagrali utwory, które – ich zdaniem – nie wypadły tak, jak chcieli, w głównym programie. Postanowili zarejestrować je raz jeszcze. Materiał na jubileuszowe DVD musiał być bez skazy. Perfekcja, jak zwykle u Toto.

## Cohen

Leonard Cohen również wypadł znakomicie, a jednocześnie wyjątkowo dystyngowanie, bo w garniturze i w kapeluszu. Jego ojciec szył garnitury i teraz syn dba o to, by krawcy mieli co robić. Podobnie jak Cohen ubrani byli członkowie jego świetnego zespołu. Mimo wysokiej temperatury w łódzkim obiekcie, Kanadyjczykowi nie przeszło nawet przez myśl, aby zdjąć marynarkę. Rzadko też rozstał się z kapeluszem.

Grał długo, bo ponad trzy godziny, z małą przerwą. Zaśpiewał chyba wszystkie swoje przeboje, z „Bird on a Wire” i „Suzanne” na czele. Ładnie wypadły krótkie solowe popisy wokalistek z chórkami. Fenomenalnie zabrzmiała Sharon Robinson. Publiczność słuchała jej w skupieniu i nagrodziła gromkimi brawami. Podobne owacje otrzymały siostry Webb, nie tylko śpiewające, ale też grające na instrumentach strunowych. Były trzy bisy, a na pożegnanie Cohen zatańczył, śpiewając – co u niego nieczęste – hit z repertuaru The Drifters, „Save the Last Dance For Me”. Było kulturalnie i poetycko. Atlas Arena prawie zapełniona, a na zewnątrz nie brakowało samochodów z zagraniczną rejestracją. Fani, którzy przybyli z daleka, zapewne nie żalowali trudów podróży.

Głos Cohena zestarzał się jak dobre wino. Jest teraz niższy i głębszy. Jeszcze bardziej wciągają znane teksty; jeszcze przyjemniej wybrzmiewają stare melodie. Mimo 79 lat na karku, piosenkarz ani

przez moment nie wydawał się zmęczony. Fantastyczny wieczór z kimś jedynym w swoim rodzaju.

## McCartney

I wreszcie Paul McCartney, jeden z największych artystów XX wieku, do dziś trzymający formę. Scenę na Stadion Narodowy dostarczyło 31 ciężarówek. W pierwszej chwili konstrukcja i sprzęt nie porażały ogromem. Dopiero kiedy rozbłysły olbrzymie telebimy, na których nawet widzowie z dalekich miejsc mogli dostrzec każdy grymas twarży bohatera wieczoru i kiedy w pewnej chwili platforma uniosła śpiewającego artystę kilka metrów ponad scenę, stało się jasne, że ciężarówki miały co dźwigać.

Koncert byłego członka The Beatles rozpoczął się przebojem „8 Days A Week”. McCartney przywitał się po polsku: „Cześć wam! – krzyknął. – Cześć Pola-





Leonard Cohen z zespołem



cy!”. Potem zaśpiewał „Junior’s Farm” z repertuaru Wings i kolejny hit Beatlesów: „Close your Eyes and I’ll Kiss you...” (tak, to początek „All My Loving”). McCartney (71 lat!) pokazał, co potrafi. To jeden z nielicznych wykonawców, którego każdą piosenkę melomani znają na pamięć, toteż wszyscy śpiewali. Grał pełną parą. „Ta piosenka jest dla Johna – zapowiedział po polsku „Here Today” – „Napisałem ją dla niego... To rozmowa, której nigdy nie przeprowadziliśmy”. Z kolei przed „Something” opowiedział, jak grał ten utwór w domu Harrisona na ukulele. Również na Stadionie Narodowym zaintonował go na

tym instrumencie. Przedtem jednak znów zapowiedział po polsku: „Ta piosenka jest dla George’a”.

Były dwa kulminacyjne punkty występu. Pierwszy to „Live and Let Die”. Fenomenalna kompozycja, rozślawiona przez film o przygodach Jamesa Bonda, w Warszawie została wykonana z udziałem spektakularnych efektów pirotechnicznych. Stadion Narodowy przez 5 minut grzmiał i płonął. Już na ten numer warto było wydać kilkaset złotych (najdroższe, VIP-owskie bilety kosztowały ponad tysiąc). Druga pamiętna chwila nastąpiła, kiedy w czasie „Hey Jude” tysiące fanów uniosło karki z napisem „Hey, Paul”. Piosenkarz był wyraźnie zaskoczony.

Wspomniane hity to tylko wycinek obszernej historii dokonań McCartneya. Oprócz repertuaru The Beatles (często ilustrowanego zdjęciami młodziutkich członków zespołu oraz filmami z ich udziałem), nie zabrakło piosenek napisanych przez gwiazdę wieczoru dla The Wings lub na jego autorskie płyty, jak choćby hit „Maybe I’m Amazed”, dedykowany nieżyjącej już żonie artysty, Lindzie. Był nawet krótki cytat z „Foxy Lady” Hendriksa, zagrany po „Let Me Roll It”.

McCartneya melomani znają przede wszystkim jako kompozytora i wokalistę. Owszem wiedzą, że gra na kilku instrumentach (niektóre płyty solowe nagrywał bez muzyków sesyjnych), ale rzadko się wspomina o jego fenomenalnym talencie łączenia wokalu z basowym akompania-

mentem. Wcale nie jest łatwo śpiewać, grając na basie. Tylko nieliczni – m.in. Sting – do perfekcji opanowali tę trudną sztukę. McCartney należy do najlepszych. W studiu można coś dograć, poprawić, ale na scenie trzeba mieć do tego smykałkę. I McCartney ją ma.

Jeśli ktoś nie był na warszawskim koncercie lub nie zetknął się z żadnym zapisem występu muzyka na CD lub DVD, to odsyłam do wznowionej niedawno płyty „Wings Over America” (dostępnej również jako potrójny album winylowy).

Po „Hey Jude” była krótka przerwa, a potem dwa długie bisy. To nic, że artysta bronił się, mówiąc, również po polsku: „Musimy już iść”. Publiczność nie wypuściła go tak szybko. Zabrzmiały jeszcze „Day Tripper”, „Hi, Hi, Hi” (z repertuaru Wings) i „Get Back”. Drugi bis rozpoczął się od najczęściej „coverowanego” hitu w historii, czyli „Yesterday”. Później usłyszeliśmy „Helter Skelter”, a na koniec deser, o jakim prawdopodobnie każdy fan Beatlesów marzył – na żywo finałową część drugiej strony „Abbey Road”, czyli „Golden Slumbers”, „Carry That Weight” i „The End”. Wtedy już na pewno nikt nie żałował, że wydał majątek na bilet.

Nie wiem, czy jakiemuś innemu artyście uda się do grudnia dostarczyć widzom podobnych wrażeń. Clapton, Waters, Toto i Cohen wysoko ustawili poprzeczkę, a McCartney był słodką wisienką na pysznym muzycznym torcie, który trafił się nam w tym roku. 